

biednym robotnikom pod różnymi pozorami podatków pośrednich i bezpośrednich. A takich, jak jej wujostwo, są setki, tysiące nawet, cała zgraja wyzyskiwaczy. I taki wstręt poczuła do ludzi tej sfery, że, wymawiając się zmęczeniem i podróżą, przeszła do swego pokoju.

Nazajutrz rano, jak to było umówione, poszła Olga do hotelu „Victoria“.

Przechodząc Placem Zielonym zobaczyła stojący tam pomnik poległych w obronie rządu carskiego. Gdy wybuchnie nasza rewolucja, pomyślała, zburzymy ten pomnik despotyzmu, a wzniesiemy kolumnę z czerwonym sztandarem.

Zastała Helenę w małym, bardzo skromnym pokoiku. Po przywitaniu mówiła Helena:

— Obeszłam dziś część Warszawy, ale to prawdziwe miasto i wiesz, czuję się jakoś nieswojsko... Za dużo tu ludzi bogatych, powozów, koni, ruchu... jakiś inny świat, bardzo różny od tego, z którym się żyłam.

— Przyzwyczaisz się... a gdzie byłeś?

— Albo ja wiem? — zaśmiała się — szłam ulicami, gdzie mnie oczy wiodły, a gdy się zmęczyłam, spytałam o Plac Zielony i znów szłam.

— No, a ludzie, jakie wrażenie?

— Tłumy... gwarne, spieszące się, ale są grzeczni, uprzejmi, no i kobiety strojne, za strojne. Wyglądałam jak kopciuszek, chociaż miałam na sobie moją najlepszą suknię, wiesz, czarną.

— Wiem... a kolegi nie widziałas?

— Owszem, pukał rano do drzwi, ale byłam jeszcze nieubrana. Mówił, że idzie na Leszno... do znajomych.

— A, już wiem. Nie mówił, kiedy wróci?

— Coś bąkał pod drzwiami, ale pójdę i zobaczę, może przyszedł.

Olga po jej wyjściu rozejrzała się po wąskim, dosyć niskim i bardzo skromnie umeblowanym pokoiku. Porównywała go ze swoim eleganckim mieszkaniem, tak stosunkowo wytwornie wyglądającym. Na razie uczuła pewne zadowolenie i coś nakształ dąmy, że posiada inny pokój, lecz w tej chwili zawstydziła się swoich niskich, egoistycznych myśli. Ona, która walczy o równość i szczęście biednych robotników, znajduje przyjemność w korzystaniu wygod, opłacanych właśnie przez tych samych biedaków. Porzucić ciotki nie może, tam wiąże ją służba sprawy, ale jaki wstyd, że w pierwszej chwili poczuła jakąś głupią dumę. O, nie jest ona jeszcze na wskrós socjalistką, daleko jej do tego i co powiedziałaby Żalecki o niej, gdyby znał jej myśli, on, który tak wysoko ceni jej etykę.

Weszła Helena razem ze Żaleckim, mówiąc:

— Spotkałam kolegę na schodach, dopiero wrócił...

— Dzień dobry koleżance — uściśnął serdecznie rękę Olgi — spieszyłem jak lokomotywa, aby was zastać. Pozwolicie, że usiądę na łóżku — jedynym bowiem dwa krzesła zajęły panny — ale jestem zmachany, jak koń wyścigowy.

— Przyszedłam przed chwilą i niepotrzebnie spieszyliście się, byłabym zaczekała na was — rzekła Olga.

— No, już trochę wydychałem się, a teraz powiedzcie nam, jak się czujecie? co porabiacie? jak was umieszczono? — pytał, stosownie do rozmowy w wagonie, podczas ich podróży.

— Jeśli idzie o wygodę, mam pokój z oddzielnym wejściem z przedpokoju i ciotka nie myśli mnie krępować pod wielu względami, ale pod jednym względem będę musiała jej ulegać, przynajmniej do pewnego stopnia, a mianowicie muszę jej towarzyszyć na zabawy i t. d.

— Tak dalece nie będzie wam to dokuczało — zauważył Żalecki.

— Gdybym w głowie miała tańce, teatru, koncerty, to mielibyście słusność, ale wy wiecie, że tak nie jest.

— Nie rozumiecie się na tem — wmieszała się Helena — to dla nas pańszczyzna.

— Ale jakoś ochotnie odbywaliście ją w Łodzi, jak mi mówiono.

— To co innego, to z własnej ochoty a nie z obowiązku — broniła się Helena.

— Cóż więcej, koleżanko Wojtyrska?

— I to jest nieprzyjemne, ale to już bardzo, że prawie sami Moskale bywają, bo on jako pochodzący z unitów, jest prawosławny.

— A, to niemiła rzecz! — zawołała Helena — zawsze spotykać tych wrogów, wyzyskiwaczy, naszych katów, to bardzo przykre.

— Koleżanki! a właściwie koleżanko Wojtyrska, nie przyjechaliscie tutaj dla przyjemności i na przyjemności, ale aby pracować i sami wiecie, w jakim kierunku... Tem lepiej dla sprawy, że je-

ścieście w moskiewskim towarzystwie, musicie się zaprzyjaźnić nawet, a w każdym razie być bliżej z osobami wpływowymi. Przypuszczam i wierzę, że to ciężka i przykra służba, ale konieczna.

— Biedna Olga, jak ja współczuję z tobą, o, wolę moją pracę — mówiła Helena.

— A jakżeż wy pracujecie? — zaśmiał się Żalecki.

— A wy jak? I co za przyjemność dokuczać mi! — uśmiechnęła się Helena.

— Sztuka dla sztuki, koleżanko!

— Marna ta wasza sztuka!

— Jak z wami przyjemnie — uśmiechnęła się Olga — tu inna atmosfera, a tam taka ciężka, taka banalna.

— Tem większa wasza zasługa, jeśli wytrwacie, koleżanko, zresztą do wszystkiego można się przyzwyczaić. Walczak pijał gorącą wodę zamiast herbaty na śniadanie i mówił, że mu smakuje.

— Gorąca woda z cukrem i bułką, to ujdzie — powiedziała Olga.

— Może dodacie ze śmietanką i marcypanem —



Doszedł do sklepiu, otworzył drzwi, oszklone małymi szybami i zajrzał.

zaśmiał się — jesteście jak ta księżniczka francuska, która, widząc lud wołający o chleb, była wielce zdziwiona, gdyż jej wystarczyły dwa biszkopy na śniadanie... Walczak pijał czystą, gorącą wodę, aby się trochę rozgrzać... Ale wracając do rzeczy...

— Czystą wodę — dziwiła się Helena — i długo tak pił?

— To zależało od stopnia gorąca wody; czasem dłużej, czasem krócej.

— Ależ nie o to idzie — mówiła z grymasem niechęci — lecz czy przez dłuższy czas używał takich śniadań? Zresztą to źle świadczy o was, że żartujecie sobie z cudzej biedy.

— Nie z niej żartuję, ale z waszych dziecinnych pytań. Przez jaki czas używał na gorącej wodzie, nie wiem, przypuszczam, że do czasu otrzymania gotówki za lekcje.

— Widzicie, kolego, on miał czas określony, a tymczasem ja nie wiem...

— Cierpliwości, koleżanko, niech tylko raz zapłacę się Rosya we wielką wojnę, nie wybrnie z niej, sama jej wielkość spęta ją. A wówczas przyjdzie godzina obrachunku.

— Ale czy przyjdzie?

— Ja nie umiem wam tego wytłumaczyć, wyjaśnić, ale czuję, ale widzę, że krew niewinnych, przelana przez nią, że te szubienice, katowice, męki otoczyły całą Rosyę jakąś krwawą, duszną, ciężką atmosferą, że ona się dusi, kona, drga w śmiertelnych skurczach i wkrótce skona ten despotyzm... Dlaczegoż my i inni nie byliśmy tu przed rokiem? przed dwoma? A teraz zlecieliśmy się jak kruki na żer, bo w powietrzu czuć padlinę carizmu... I z naszych rąk, z szeregów socjalizmu padnie pierwszy piorun i cały lud pójdzie z nami ku wiosnie, ku życiu!

— Ach, gdyby wasze słowa się sprawdziły!... ale wy nie znacie jej potęgi! jej zasobów! — zawołała Olga.

— Ale i najpotężniejszy budynek runie, gdy chwieją się podstawy, a my wzruszymy te podstawy... tylko pracy i wytrwałości.

— Czegóż dowiedzieliście się na Lesznie? — spytała po chwili.

— Dopiero około trzeciej dowiem się, gdzie go spotkam.

— Czy dacie mi znać o rezultacie?

— O ile będę mógł... ale gdzie się spotkamy?

— Jak długo będziecie tutaj, przyjdę sama, u portyera zostawcie wiadomość, o której was zastanę... a następnie albo u mnie, albo w umówionym miejscu.

Zaczęto rozmawiać o wspomnieniach uniwersyteckich, o kolegach i koleżankach i czas szybko mijał.

Żalecki spojrzał na zegarek i rzekł:

— Już druga, pójdę co zjeść i idę... A wy, koleżanko Borwicz, nie pójdziecie ze mną do restauracji?

— Nie, już jadłam.

— Więc odprowadź mnie — prosiła Olga — dowiesz się, gdzie mieszkam i zajdziesz do mnie na chwilę.

— Pójdę; i tak nie mam co robić.

W sklepiu powiedziałno Żaleckiemu, że pan Kubalski będzie o piątej godzinie i tu może go spotkać.

Już szarzało i dzień łamał się z nocą; w zaułkach i kątach kładły się grube cienie. W powietrzu dusznym i mglistym, które zdawało się opadać ciężko na domy i ulice, poczęły przeblyskiwać żółtawopomieniępalących się po sklepach lamp naftowych; turkot dorozek, gwar ludzkich głosów, tracił na wyrażnych dźwiękach i zlewał się w jakiś chaotyczny szum, z którego od czasu do czasu wyrwał się jakiś przenikliwy głos, to daleki, to bliższy, jak gdyby okrzyk bólesci lub bezsilnego gniewu.

Żaleckiego opanował dziwny smutek i poczucie bezsilności wobec tego miasta tak ludnego, bogatego, złożonego z tak bardzo różnorodnych żywiołów. Czy nie jest to bezcelowe i naiwne pokuszenie, że oni potrafią poruszyć, zelektryzować to miasto, zmienić nie tylko porządek rządowy, ale i ustrój społeczny? To utopia, to błędny ogień, który ich mami, ludzi, zwodzi, udając słońce i poprowadzi do niechybnej, a bezcelowej śmierci i wy-czerpania.

Idąc chodnikiem, patrzył na ludzi, z których każdy, jeśli nie w oczach i rysach twarzy, to w ubraniu i ruchach miał zaznaczoną swą odrębność, szedł swoją drogą, miał swój cel i środki zdobycia go. I w jaki sposób te jednostki, obce dla siebie, często wrogie, tak rozprószone, ustawić w jeden szereg, natchnąć jedną myślą, jednym uczuciem i poprowadzić na dane hasło do boju?

(Ciąg dalszy nastąpi).